

# Noc straszącej dyni



## Stefan Król

Pierwszy – drugi listopada. Sporo nazw: Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny, Zaduszki, Święto Zmarłych. Cmentarze, miejsce wiecznego spoczynku zmarłych, zapełniają się żywymi. Na alejkach cmentarnych usłanych opadłymi liśćmi pełno ludzi. Przejechali nieraz setki kilometrów by spotkać się z rodziną przy grobach swoich bliskich. Prawdziwa wędrówka ludów. Wieczorem nad cmentarzami łuny. To tysiące smutnych, chybotliwych światełek rozjaśnia niebo i tworzy uroczysty nastrój. Ludzie powracają pamięcią do zmarłych. Ożywają oni w płomykach listopadowego wieczoru i toczą wielki milczący dialog z naszymi myślami. Są zawsze od nas mądrzejsi o swoją śmierć, choć przypominają nam się w pulsujących życiem scenach i obrazach, może tylko w zawikłanej chronologii i niejasnym układzie jak na fotografiach z rozrzuconego albumu. Zdają się krążyć wśród spacerujących, zamyślonych czy medytujących postaci, mają prośby do nas i rady dla nas: wystarczy przeczytać kilka inskrypcji nagrobnych by być tego pewnym. Te dwa dni i wieczory zawsze były i są świętem przenikania czy też więzi dwu światów: tego żywego i tego zmarłych. W takiej więzi „wieczność z traw się

wykojarza” (Leśmian). To Polska.

Noc z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada: Halloween. Wielkie dynie z otworami oświetlone od wewnątrz; szkielety, posępne zakapturzone postacie, maski z najbardziej dreszczowych bajek; maskarady diabłów, duchów, czarownic i żywych trupów zaludnia wielkie miasta i małe miasteczka; gromadki poprzebieranych dzieci – od najmłodszych, pod opieką rodziców do starszych „straszących” samodzielnie – chodzących od domu do domu z obsesyjnie powtarzaniem pytaniem: *trick or treat?* – psikus albo poczęstunek? To Ameryka Północna.

Czy te dwa święta, dwa tak różne zwyczaje, dwa nieprzystające do siebie nastroje mają coś ze sobą wspólnego? Mają. Są to dwie odpowiedzi kulturowe na tę samą potrzebę duchową: kontaktu ze światem zmarłych.

Halloween jest być może najstarszym ze świąt świata zachodniego, jego korzenie sięgają najdawniejszych europejskich tradycji. Historia tego święta zaczyna się wraz z Celtami, starożytnym ludem europejskim, który utworzył pierwszą wielką cywilizację na północ od basenu Morza Śródziemnego. Wychodząc z obszarów naddunajskich i przesuając się na zachód pod naporem Germanów Celtowie, chronili się na wyspach brytyjskich; w IV w. przed Chrystusem obie wyspy brytyjskie były już celtyckie, a Irlandia miała zostać na długie wieki matecznikiem Celtów.

Celtowie żyli w głębokiej więzi z naturą, kierując się jej rytmem i porami roku. Rok dzielili na cztery części, a każda z nich rozpoczynała się odpowiednim świętem. I tak: 1 listopada (*Samhain*) był początkiem zimy i jednocześnie początkiem nowego roku; 1 luty (*Imbolc*) rozpoczynał kolejną porę roku – uścisk pory chłodnej zaczynał słabnąć wraz wydłużaniem się dnia i narodzinami jagniąt będących znakiem życia i nadziei; 1 maja (*Beltane*) był świętem ostatecznego powrotu pory pięknej i słońca czyli źródła życia; i 1 sierpnia (*Lugnasa*) – apogeum lata, czas zbiorów, lecz również czas, w którym po czerwcowym przesileniu dni zaczynały się skracać, a jesień coraz wyraźniej zaznaczała swoją obecność.

Wśród tych czterech świąt *Samhain* zajmował miejsce szczególne. Dla Celtów czas nie miał charakteru linearnego, lecz był cykliczny i określone wydarzenia miały się powtarzać z pewną regularnością. Czas był po prostu maszyną do produkowania powrotów, łączenia narodzin i śmierci. Ponieważ *Samhain* był

początkiem nowego roku i końcem starego, był więc czasem, kiedy spotykali się żywi i umarli, zatem niejako naturalnym świętem zmarłych. Starożytni Celtowie świętowali podczas *Samhain* świętą więź życia i śmierci. Nie miało to nic wspólnego ze strachem przed zmarłymi, czy też złymi duchami. Było to natomiast święto wspólnoty i jedności pomiędzy żywymi i zmarłymi, których się nie lękano i którym okazywano szacunek. Uważano, że tego dnia zmarli mogą powrócić na ziemię pomiędzy żywych by świętować razem ze swoją rodziną. Sprowadzały ich na ziemię nie ciemne siły koszmarów (patrz współczesny Halloween) lecz pamięć i miłość żywych.

W średniowieczu w tym niezwykłym tyglu ludów, kultur i tradycji nastąpiła chrystianizacja zwyczajów i świąt pogańskich. Zwykle do pogańskich dat dodawano chrześcijańskie celebracje. Niektóre święta Kościoła pierwszych wieków wprowadził tylko po to by „ochrzcić” istniejące wcześniej święta przedchrześcijańskie. Chrześcijaństwo stanowiło wyjątkową siłę łączącą, zachowującą, wybierającą i przekształcającą to wszystko, to co pochodziło z czasów poprzedzających.

Święto Wszystkich Świętych powstało ze zderzenia celtyckiego *Samhain* i rzymskiego kultu męczenników. Jeśli kult pojedynczych męczenników sięga pierwszych wieków, to począwszy od IV w. w kościołach wschodnich zaczęto czcić wszystkich świętych - znanych i nieznanych - w jednym i tym samym dniu. Kościół syryjski czynił to podczas okresu paschalnego, bizantyjski - w niedzielę po zesłaniu Ducha Świętego. Na tych obszarach Europy, gdzie tradycja celtycka miała silniejszy wpływ, tradycja *Sumhain* była dość żywa i dla tego zdecydowano, aby połączyć z tym starożytnym świętem oddawanie czci świętym. W VIII w. episkopat frankoński święto Wszystkich Świętych ustanowił w tym samym czasie kiedy obchodzono *Sumhain*. W połowie IX w. święto zostało oficjalnie podniesione do godności święta ogólnokościelnego i wyznaczone na dzień 1 listopada przez papieża Grzegorza IV. Forma kultu wszystkich świętych zależała (i zależy) od tradycji lokalnych.

Jak to się więc stało, że nastrojowe znicze na grobach zostały zastąpione przez ponure, podświetlone dynie przy wejściu do domów? Powodów tego należy szukać w historii kolonii angielskich, a w szczególności pierwszej kolonii jaką była właśnie Irlandia. Inwazja Irlandii za czasów panowania okrutnej królowej Elżbiety I, a następnie reformacja protestancka, liczne powstania irlandzkie krwawo tłumione przez okupantów (przypomina się dziewiętnastowieczna historia Polski),



przerażające ludobójstwo dokonane na narodzie irlandzkim w XIX w. przez Anglików sprawiły, że święto Wszystkich Świętych wyemigrowało z Irlandii za Ocean i tam uległo amerykanizacji.



Zacznijmy od języka. Sama nazwa Halloween jest niczym innym jak amerykańskim zniekształceniem określenia pochodzącego z mówionego języka angielskiego z Irlandii: *All Hollows' Eve* - wigilia Wszystkich Świętych. Halloween bierze więc swój początek w ortodoksyjnym świecie katolickim by skończyć jako spaczona parodia tego, co święte.

Gdy Irlandczycy przybyli do Nowego Świata (w połowie XIX w. wyemigrowało 1.5 miliona Irlandczyków, milion zmarło z głodu; na początku wieku XIX Zieloną Wyspę zamieszkiwało kilka milionów ludzi) spotkali się z wrogością miejscowego społeczeństwa, które szczyliło się tym, że jest *wasp tzn. white, anglo-saxon and protestant*. Irlandczycy mieli więc tylko jedną „pozytywną” cechę: *white* i „straszna” wadę; byli żarliwymi katolikami. Święto *All Holows' Eve* zostało więc

przywiezione do Ameryki przez irlandzkich emigrantów wraz z całym dziedzictwem ich wiary – głębokim nabożeństwem do świętych – i kultury ich ziemi. Oczywiście rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie uznał święta tak bardzo katolickiego, a *white, anglo-saxon and protestants* przyglądali się ze zdumieniem rytom kultu świętych i zmarłych celebrowanych przez tych, którzy przybyli, uciekając przez straszną klęskę, która dotknęła ich kraj. W zderzeniu kultur, jak zwykle w takich wypadkach bywa, święto zostało zachowane, ale zmieniło swoją treść. Katolicka interpretacja dnia Wszystkich Świętych została odrzucona, zastąpiona ponurymi wyobrażeniami purytańskich zaświatów pełnych postaci zmarłych powstających z grobów czy dusz dręczących tych, którzy za życia w jakiś sposób im zaszkadzili. Ten wymiar zaświatów kultura Nowego Świata stara się egzorcyzmować poprzez maski i żarty. Piękne irlandzkie słowo *hollow* oznaczające świętość musiało niejako z konieczności wyjść z użycia. Z tego, co irlandzkie pozostała w *Halloweenie* jedynie legenda o Jacku O’Lanternie tradycyjnie związana z tym świętem. Opowiada się mianowicie, że Jack zaprosił szatana, aby razem z nim pić, ofiarowując mu duszę za jednego szylinga. Wziąwszy monetę położył ją obok krzyża, co uniemożliwiło diabłu zabranie jego duszy. Lecz kiedy Jack umarł otrzymał zakaz wstępu nie tylko do raju, ale i do piekła. Diabeł uderzył go płonąącą głownią w twarz i skazał na wieczne błąkanie się po ziemi z twarzą w ogniu. Pusta podświetlona dynia ma nam przypominać biednego Jacka O’Lanternę. (Nawiasem mówiąc nasz Twardowski radził sobie z diabłem znacznie lepiej). Ta groteskowa lampa-dynia, której Irlandczycy nigdy nie widzieli na swojej wyspie stała się więc swego rodzaju logo dla nowej wersji świąt *Samhain* i Wszystkich Świętych. Przywołując znane w ekonomii prawo Kopernika-Greshama możemy powiedzieć: moneta gorsza wyparła z rynku monetę lepszą.

Czy musimy się na taką podmianę monet godzić? Niestety nasza zgoda lub niezgoda niewiele tu znaczy. Jednostkowe wiosło nie zawróci biegu rzeki: amerykanizacja kultur narodowych jest duchem czasu. *Halloween* podbija już Europę Zachodnią, stał się już nawet problemem duszpasterskim we Włoszech. Jedynie co możemy zrobić to starać się monetę o mniejszej ilości kruszcu choć trochę uszlachetnić. Nie zabierajmy dzieciom uciechy grożenia psikusem i otrzymywania w zamian słodkiego poczęstunku, zaprośmy je natomiast na drugi dzień po *Halloweenie* na cmentarz by na grobach zapaliły znicze i pospacerujemy z nimi po cmentarzu.

*Stefan Król (1937-2015) – kanadyjski fizyk, piszący felietony.*

<http://www.cultureave.com/stefan-krol-glos-w-dyskusji/>